Jestem kobietą z tamtej epoki

SYLWETKA. Wiek jest tylko metryką bez znaczenia, jeśli walczy się o zachowanie młodości w sobie – mówi Barbara Krafftówna

– Jestem bardzo szczęśliwa, że dociągnęłam do pierwszego bałwanka – 80 lat – w jakiej takiej formie. Z tym, że na tę formę ciężko pracowałam i pracuję. Samoistnie to nie przychodzi. Nawet najmłodszy organizm, jeśli się zasiedzi i na przykład leży tydzień w łóżku, to potem wstaje jak biedna szmacina, sflaczały cały i musi dopiero dojść do siebie – powiedziała podczas ubiegłorocznego jubileuszu. A w kilka dni później, w dniu urodzin, zagrała Anastazję w „Oczach Brigitte Bardot", na deskach warszawskiego Teatru na Woli, w sztuce napisanej specjalnie dla niej przez Remigiusza Grzelę. Barbara Krafftówna – znakomita aktorka, słynna Felicja w „Jak być kochaną" Wojciecha Jerzego Hasa i Honorata z „Czterech pancernych i psa", niezapomniana wykonawczyni piosenek kabaretowych, w tym „Przeklnę cię" z kabaretu Starszych Panów i brawurowej roli w telewizyjnej „Wizycie starszej pani". Przez wiele lat mieszkała i grała w Los Angeles. W tym roku „bałwanek" pozbył się zera, życie dopisało mu jedynkę, ale artystka wciąż pracuje wbrew wszystkiemu, choć życie, wraz z jedynką dopisało dramatyczne zdarzenia.

Grana przez Krafftównę bohaterka – Anastazja – ma 108 lat i nigdy nie przestała marzyć. – *Te 108 lat to literacka wyobraźnia i cudowny żart autora. Chociaż może jest to wizja przyszłości. Może w przyszłości będziemy tyle żyć, bo nasz wiek ciągle się przesuwa. Nikt z nas nie przypuszczał, że można funkcjonować w tak późnym wieku. Nasze babcie kończyły aktywność w 30., 40. roku życia* – wyznała aktorka.

Barbara Krafftówna FOT. PIOTR PODLEWSKI/AGENCJA MAZUR

– *Gram prostego człowieka, kierowcę warszawskiego, bystrzaka, ale i łobuza. Łobuza o gołębim sercu, którego pani Anastazja w czasie ich podróży wychowuje. Po prostu na ludzi mnie wyprowadza. Jestem ulepiony przez Basię jak z wosku. Miękki i zakochany w niej bez pamięci. Więcej państwu nie powiem, bo wszystkie miny mam zarezerwowane na spektakl* – powiedział na jednym ze spotkań Marian Kociniak, partnerujący aktorce w przedstawieniu.

Anastazję ożywiła pani Barbara, więc Anastazja pozbyła się garbu. Mimo swojego wieku nie przestaje być młoda. Ale jest w spektaklu kilka scen, w których Anastazja jest rzeczywiście łysiejącą staruszką na końcu drogi. Ewa Kowalewska, która charakteryzowała panią Barbarę, miała z tym naprawdę kłopot. Kiedyś Remigiusz Grzela podsłuchał pod drzwiami charakteryzatorni panią Ewę mówiącą: „Pani Barbaro, proszę się nie uśmiechać, błagam, jak się pani uśmiecha, to wciąż pani jest młoda. Nigdy nie zobaczymy efektu starości". Pani Barbara spochmurniała i zapytała smutno: „Ale czy chociaż szlachetność pozostanie w tej twarzy?" Anastazja w tym spektaklu wybiera się w podróż życia… taksówką. Po raz pierwszy od wielu dziesiątek lat staje się królową życia.

To nie było pierwsze spotkanie artystki z Remigiuszem Grzelą. Wcześniej, bo w 2006 roku, przygotowała monodram „Błękitny diabeł" o Marlenie Dietrich na podstawie jego scenariusza i w reżyserii Józefa Opalskiego. To było na jubileusz 60–lecia pracy artystycznej. Wówczas, równie filuternie, wyznała: „Przeskoczyłam dwie siekierki, czyli 77 lat, więc mam nadzieję, że dotrwam do trzech kaktusów, czyli 111 lat", a słowa te gromkimi brawami oklaskiwali jubileuszowi goście w Teatrze Narodowym, wśród których pojawili się m.in. Maja Komorowska, Stanisław Tym, Kazimierz Kutz, ks. Kazimierz Orzechowski, Bogusław Kaczyński, a także Nina Andrycz. Marlena Krafftówny też była królową życia. Bo królową życia jest Barbara Krafftówna. Mimo że w grudniu skończyła 81 lat, jej młodzieńczy uśmiech, zgrabna sylwetka i radość bijąca z twarzy odejmują artystce, co najmniej lat dziesięć. Mogliśmy ją oglądać w tym monodramie także w Krakowie, do którego tak chętnie przyjeżdża. W spektaklu zagrały także tajemnicze drewniaki…

– *Występowałam w nich u Iwo Galla, którego Studio Aktorskie kończyłam w Krakowie – one stanowią jeden z przechowywanych przeze mnie świętych przedmiotów. Mam duszę „przechowywacza". Zachowuję przedmioty będące dla mnie ważnym znakiem czasu. Mam naparstek wyniesiony z powstania warszawskiego. Chyba istnieje jeszcze fragment rolki papieru toaletowego, który tuż po wojnie dostawaliśmy z UNRRY, wraz z płynną parafiną i używaliśmy jej do demakijażu. O innych, szlachetniejszych „kosmetykach"*

Dokończenie – str. C8

Jestem kobietą z tamtej epoki

Dokończenie ze str. C7

w tamtych czasach nikomu się nawet nie śniło. Zachowałam też z tamtych lat flakonik z kroplą, pewnie już zgęstniałą, perfum „Soir de Paris". Mój Boże, Kraków, tyle chwil w nim spędziłam. I Jama Michalika gdzie występowałam...

Aktorka wielokrotnie powtarza, że jest kobietą „z tamtej epoki". – *Tak. Przynależę do teatru Iwona Galla, Erwina Axera, Kazimierza Dejmka, do Kabaretu Starszych Panów Przybory i Wasowskiego – wychowałam się na tych autorytetach. Ten teatr mnie ukształtował i to źródło cały czas bije, wciąż z niego korzystam, dopóki skleroza mnie nie trzaśnie. I choć byłam jedną z pierwszych polskich aktorek, których popularność stworzyła telewizja i film, to jednak moje aktorstwo uformował teatr.*

Z panią Barbarą spotykałam się wielokrotnie, ale nigdy nie zapomnę spotkania z artystką w Jamie Michalika. Nie chciałam przyjść na nie z pustymi rękami, a było późno i kwiaciarnie zamknięte, więc zabrałam ze sobą powidła śliwkowe własnej roboty. – *Żadnym bukietem nie sprawiłaby mi pani tyle radości* – powiedziała uśmiechnięta.

Radość życia... Skąd ją brać, skoro to życie nie jest usłane różami. A pani Barbara wie o tym dobrze, bo obok chwil radosnych, sporo smutków przeżyła. Najpierw wyemigrowała do Ameryki po śmierci męża. – *Właściwie nigdy z kraju nie wyemigrowałam. Pojechałam do Los Angeles, bo stamtąd dostałam propozycję zagrania w „Matce" Witkacego. No i tak to się wszystko zaczęło. Moja nieobecność w kraju była zmienna, nieobliczalna i nieprzewidywalna, gdyż związana z obowiązkami artystycznymi. Bywałam w Polsce i w Ameryce. Bardzo szybko zapuszczam korzenie i trudno rozstaję się z miejscami, gdzie byłam szczęśliwa.*

– *W Ameryce przeżyłam wiele szczęśliwych chwil. Ale też życie nie szczędziło mi dramatów. W Polsce owdowiałam. Syn był już odchowany, więc mogłam wyjechać. To był pewnie rodzaj ucieczki od problemów. W obcych dźwiękach i obyczajach łatwiej było leczyć ból. W Ameryce wyszłam za mąż i szybko owdowiałam po raz drugi. Poczułam się znokautowana. Mąż, mimo że z wykształcenia był antropologiem, zajmował się także sztuką: współpracował z radiem, z teatrami, świetnie śpiewał i grał, bo miał także muzyczne wykształcenie. Mieliśmy tyle artystycznych planów...*

Samotność spowodowała istotne zmiany w artystycznym życiu aktorki. Musiała nauczyć się samodzielności. Zaczęła intensywną naukę angielskiego, współpracę z tamtejszymi teatrami, uniwersytetem. Zagrała w „Hipolitusie" Seneki, w „Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj" Gombrowicza, występowała w spektaklach dyplomowych Departamentu Teatru Kalifornijskiego Uniwersytetu, współpracowała z Amerykańskim Instytutem Filmowym, grając w kilku filmach wraz ze studentami. Tam właśnie przygotowała „Medytacje o dziewictwie" wg opowiadania Gombrowicza, z którymi była przed kilkoma laty w Krakowie. – *Widzi pani, zawsze miałam w sobie odrobinę szaleństwa, lubiłam podejmować w życiu trudne wyzwania. Jednym z nich był wyjazd do Ameryki i rzucenie się na głęboką wodę. Przecież nie znałam języka, więc próby „Matki" nie były łatwe. Fonetyczna nauka angielskiego wymagała benedyktyńskiej pracy. Mimo trudnych początków, jednak nie załamywałam się, a za rolę tytułowej Matki otrzymałam prestiżową nagrodę. Uważam, że życie fundując mi dwukrotnie samotność, zmusiło mnie do czujności. Wiem, że los zawsze może mnie zaskoczyć. Ale ja lubię jego niespodzianki, poza tymi bolesnymi. Może dlatego, że wciąż jestem nienasycona światem i ludźmi?*

I to nienasycenie, i ta odrobina szaleństwa, a także szaleńczy pęd do pracy są receptą na młodość Barbary Krafftówny. – *Przez wiele lat koleżanki z garderoby nazywały mnie „higienistką". Nie tylko z powodu dbałości o ciało, ale także o ducha. A higienę duchową wyniosłam z domu, w niej wychowywała mnie matka. Nigdy nie zabiegałam o role, nie dbałam o ciągłe granie. Wiedziałam, że przerwy, właśnie dla artystycznej higieny, są nieodzowne. Ale też i o ciało dbałam Na stare lata nauczyłam się pływać, uważając, że jeśli los wstawił w mój amerykański życiorys basen z ciepłą wodą, to byłby to skandal, bym nie umiała pływać.*

Barbara Krafftówna zamawiając sztukę na swój jubileusz, opatrzyła ją jedną jedyną uwagą: Ma to być sztuka zabawna, która daje nadzieję, przekonuje, że nie należy przestawać marzyć, a wiek jest tylko metryką bez znaczenia, jeśli walczy się o zachowanie młodości w sobie.

A ta nadzieja jest artystce potrzebna szczególnie teraz, kiedy przeżywa kolejny dramat: przed miesiącem straciła syna. – *Ale nie poddaję się. Nadal pracuję, jestem otwarta na ludzi, świat. Wierzę, że spotka mnie w życiu jeszcze coś dobrego. Na razie musiałam przerwać próby nad recitalem, ale wrócę do nich. A w święta przytulę się do mojej rodziny, moich bliskich i będę zmieniać miejsca, żeby był ruch, żeby coś się działo. Kiedyś, w dzieciństwie spędzaliśmy święta bardzo rodzinnie, z tradycyjnymi potrawami na wigilijnym stole. A prezenty były wielką tajemnicą, nie leżały pod choinką jak dziś, ale wyczekiwało się na nie, miał się zdarzyć cud i w pokoju obok nagle pojawiały się paczuszki. Z kolei, kiedy mój syn wyjeżdżał w okresie świątecznym na trzymiesięczne kursy narciarskie, to Wigilię przygotowywałam wcześniej, żeby nie pozbawiać go zapachu i atmosfery tradycji. Te święta będą dla mnie pełne bólu, ale postaram się uśmiechnąć, choć kilka razy.*

JOLANTA CIOSEK